

Andrzej Walicki

Odpowiedź na ankietę „Przeglądu Filozoficznego” w sprawie kondycji polskiej filozofii

Nie sądzę, aby można było mówić o „społecznym zniechęceniu filozofią” – filozofia jako taka nigdy bowiem nie znajdowała się u nas w centrum zainteresowania społecznego, a sytuacje, w których budziła żywsze emocje, należały do wyjątkowych. Widoczne jest natomiast wyraźne zniecierpliwienie rzekomo beużytecznością filozofii – i nauk humanistycznych w ogóle – we wpływo- wych środowiskach opiniotwórczych: przede wszystkim wśród przedstawicieli biznesu, administracji państwowej i mediów, jednomyślnych niemal w lanso- waniu ciasno utylitarnych kryteriów pomyślności społecznej. Co gorsza, środo- wiska te wydają się szczerze przekonane, że interes modernizującej się Polski tożsamy jest w istocie z interesem prywatnych pracodawców, wymaga więc tworzenia rynku pracy maksymalnie dostosowanego do potrzeb tej właśnie grupy. Towarzyszą temu, niestety, grubo wyolbrzymione wyobrażenia o docho- dach i przywilejach „nieproduktywnych środowisk akademickich”, generujące dążność do ukrócenia tych „przywilejów” przez poddanie wszystkich pracow- ników nauki drobiazgowej, biurokratycznej kontroli¹.

Ta wstępna diagnoza wspiera pierwszy punkt ankiety „Przeglądu Filozo- ficznego”, formułujący hipotezę, że „upadek filozofii to tylko jaskrawy przy- kład upadku całej humanistyki”. Trzy pozostałe hipotezy wydają mi się mało przekonujące: nie potwierdza ich ani moja obserwacja aktualnego stanu filo- zofii w naszym kraju, ani doświadczenie mojego życia. Teza o związku coraz trudniejszej sytuacji filozofii z widoczną gołym okiem degradacją i margina- lizacją całej humanistyki ma natomiast, w moich oczach, walor oczywistości.

¹ Zob. K. Leja, *Garść refleksji o parametryzacji w nauce i szkolnictwie wyższym w Polsce*, „Nauka Polska. Jej Potrzeby, Organizacja i Rozwój” 2013, t. XXII.

Autorzy ankiety mają rację, wiążąc to z upadkiem dworskiego mecena-
tu, kultywującego ideał człowieka dobrze wychowanego i wszechstronnie
wykształconego, w przekonaniu, że tacy właśnie ludzie będą najlepiej repre-
zentować wizerunek i interesy cywilizowanego państwa. Słusznie wymienio-
no w tym kontekście poglądy Floriana Znanieckiego, choć należałoby chyba
zacząć od długiej i czcigodnej tradycji angielskiego gentlemana, a także wspo-
mnieć o klasycznej koncepcji liberalnego uniwersytetu, opracowanej i wcie-
lanej w życie przez Wilhelma von Humboldta. Dla przeciwwagi można by
także przypomnieć klasyka amerykańskiej socjologii, Thorsteina Veblena,
który w książce z 1899 r. wskazał związek wykształcenia humanistycznego
z istnieniem „klasy próżniaczej”, nie ukrywając, że dominacja kultury huma-
nistycznej nie sprzyja podniesieniu efektywności produkcyjnej społeczeństwa².

Autorzy omawianej ankiety trafnie odnotowali, że utożsamianie wiedzy
z wyspecjalizowaną wiedzą profesjonalną, o zastosowaniach bezpośrednio
użytecznych, jest sprawą stosunkowo niedawną: „jeszcze w XIX w. na wyso-
kich urzędników Imperium Brytyjskiego powoływano najchętniej absolwen-
tów filozofii i języków klasycznych”. Zgoda – należałoby tylko dodać, że
nieużyteczny model wykształcenia rozkwitał na najlepszych uniwersytetach
Zachodu również w wieku XX i dopiero dziś musi bronić się przed atakami
zwolenników ciasnego, krótkowzrocznego utylitaryzmu – w Polsce radykal-
niejszymi i niebezpieczniejszymi dla kultury niż gdziekolwiek indziej. Mam
na myśli oczywiście narzucaną dziś środowisku naukowemu parametryzację,
czyli pogoń za zdobywaniem „punktów”, „cytowalność” i „bibliometrię” jako
główne mierniki osiągnięć naukowych. Czy ktoś pomyślał, że żaden filozof nie
napisze książki po to, aby zdobyć wysoką ocenę „bibliometryczną”? To samo
powiedzieć należy o systemie grantów, czyli metodzie konkursowo-mobiliza-
cyjnej, mającej zastąpić pracę ciągłą, pozwalającą badaczom na długotrwałe
planowanie własnego życia naukowego. Czy słyszał ktoś o filozofie wnoszą-
cym jakiś wkład do światowej myśli w pracy napisanej w ramach 2- lub 3-let-
niego grantu, „rozliczanego” przez urzędników „bibliometrycznie”?

Jako jeden z seniorów polskiej humanistyki mogę mówić o tych sprawach
na podstawie obserwacji i doświadczeń zebranych w ciągu własnego, długiego
już życia. Tym bardziej, że ponad 20 lat spędziłem, jako gość lub jako pra-
cownik, w różnych uniwersytetach i instytucjach naukowych Zachodu, głównie
(choć nie tylko) anglojęzycznego. Ograniczę się do refleksji nad moją pracą
naukową w Oksfordzie (w sumie półtora roku), w Australijskim Uniwersytecie
Narodowym w Canberze (5 lat) i na Uniwersytecie Notre Dame w Indianie
(12 lat, 1986–1999). Zacząć muszę jednak od kilku refleksji na temat mojej

² T. Veblen, *Teoria klasy próżniaczej*, Warszawa 1971, s. 338.

pracy w PRL: na Wydziale Filozofii i Socjologii UW (1957–1961) i w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN.

Warszawa

Rozpoczęcie przeze mnie studiów uniwersyteckich – na Uniwersytecie Łódzkim w 1949 r. – zbiegło się w czasie z likwidacją przeddyplomowych studiów filozoficznych, przeniesionych tymczasowo na szczebel pomagisterski (co miało umożliwić władzom oświatowym wykształcenie w międzyczasie nowej, marksistowsko-leninowskiej kadry nauczycieli akademickich). Nie mogłem więc spełnić swego marzenia o studiowaniu filozofii pod kierunkiem Władysława Tatarkiewicza. Ze względów politycznych (uwięzienie mojego ojca Michała Walickiego za pracę podczas okupacji w Komendzie Głównej AK) nie mogłem nawet swobodnie wybrać kierunku studiów: przyjęto mnie na nowo utworzony Wydział Rusycystyki, cierpiący na ostry niedobór studentów. W następnym roku akademickim, po przeniesieniu się na Uniwersytet Warszawski, mogłem jednak nawiązać kontakt z Tatarkiewiczem, który odsunięty był już wprawdzie od nauczania, ale mógł nadal przyjmować egzaminy i kierować pracami dyplomowymi swoich studentów. Korzystając z tego, zdałem u Tatarkiewicza dwa egzaminy, obejmujące zakresowo całość filozofii, oraz zacząłem myśleć o pisaniu u niego pracy magisterskiej. Tatarkiewicz odniósł się do tego z wielką życzliwością, podsuwał mi ciekawe tematy z dziejów filozofii rosyjskiej, a zarazem wnikliwie omawiał moje własne pomysły. Utwierdziło mnie to w przekonaniu (które wyniosłem z domu, mój ojciec był bowiem historykiem sztuki), że humanistyczne studia wyższe powinny kulminować w indywidualnej pracy studenta z profesorem.

Jak było do przewidzenia, szybka stalinizacja szkolnictwa wyższego uniemożliwiła mi realizację tego planu. Kontynuowałem więc studia rusycystyczne, a następnie studia aspiranckie w Polskiej Akademii Nauk, zakończone na początku 1958 r. obroną na UW pracy kandydackiej (ówczesny odpowiednik doktoratu) na temat wybranych idei filozoficznych w rosyjskiej literaturze i krytyce literackiej XIX w. Pracując nad tą dysertacją, nawiązałem kontakty ze środowiskiem filozofów i socjologów, a polska „odwilż” lat 1955–1956 otworzyła przede mną drogi do wydawnictw i zapewniła różne ciekawe możliwości pracy. Wybrałem stanowisko adiunkta przy Katedrze Historii Myśli Społecznej prof. Niny Assorodobraj na UW oraz pół etatu w Zakładzie Historii Nowożytnej Filozofii doc. Bronisława Baczki w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W roku 1961 r. porzuciłem UW w związku z przejściem na pełny etat w PAN, gdzie pracowałem aż do wyjazdu do Australii w końcu 1981 r., nie ma więc w mojej biografii długiego okresu pracy dydaktycznej na wyższej uczelni

polskiej. Dzięki znakomitemu konwersatorium filozoficznemu, prowadzonemu przez cały czas przez zakład Baczki, a także dzięki stałym, bardzo żywym kontaktom z kolegami uniwersyteckimi, miałem jednak dobry wgląd w działalność Wydziału Filozoficznego UW w okresie jego największej świetności. Bliskości tych więzi dowodzi fakt, że uważany byłem za współtwórcę tzw. Warszawskiej Szkoły Historii Idei, reprezentowanej przez Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczkę i Jerzego Szackiego, a więc kojarzonej głównie z UW.

To, co ukazywało się moim oczom z tak bliskiego i uprzywilejowanego punktu obserwacyjnego, było ponad wszelką wątpliwość realizacją najszlachetniej liberalnego, humanistycznego modelu kształcenia akademickiego, opartego na relacji „mistrz–uczeń”. Relacja ta inna była w przypadku Baczki, otoczonego gronem studentów (tzw. „baczkoidzi”), widzących w nim charyzmatycznego przewodnika po świecie idei, a inna w przypadku Kołakowskiego (podziwianego jako samodzielny myśliciel, a zarazem jako wpływowy lider opozycyjnej opinii publicznej) – w obu przypadkach jednak była to relacja głęboko osobista, formująca całą osobowość studiującego, niemająca nic wspólnego z mechanicznym przekazywaniem określonego *quantum* użytecznej wiedzy. Było oczywiste, że celem nauczania jest kształtowanie zdolności samodzielnego myślenia, a nie przygotowywanie młodych ludzi do konkurowania ze sobą na rynku pracy. W praktyce okazywało się jednak, że ten nieużyteczny system edukacji dawał absolwentom filozofii pewną ważną i coraz wyżej cenioną korzyść praktyczną; przygotowywał bowiem przyszłych wykładowców filozofii, redaktorów i działaczy kulturalnych do uniezależnienia się od nacisków ideologicznych. W warunkach „realnego socjalizmu” było to ważnym krokiem we właściwym kierunku, dowodzącym, że po „przełomie październikowym” PRL przestawała być państwem ideologicznym.

Oxford

Inny model połączenia edukacyjnego antyutilitaryzmu z kształtowaniem postaw obywatelskich poznałem w Oksfordzie – najpierw w St. Anthony’s College (1960 r.), a następnie w słynnym All Souls College (9 miesięcy w latach 1966–1967 i 3 miesiące w 1973 r.), różniącym się od innych kolegów przywilejem braku obowiązków dydaktycznych oraz (w związku z tym) nieposiadaniem w swym składzie studentów.

Był to zupełnie odmienny, uroczy anachroniczny świat. Wspólne posiłki, wieczorem w togach, z obsługą przez lokai, ścisłe przestrzeganie ustalonych rytuałów (np. o czym można rozmawiać i kiedy; nigdy o sprawach własnej profesji i o polityce), a ponadto rygorystyczne kultywowanie swoistych tradycji danego kolegium – w All Souls był to jeden wieczór w roku, kiedy należało

się „wstawić”, a przede wszystkim zakaz przyjmowania kobiet, z wyjątkiem Ladies’ Day i Ladies’ Night, tj. jednego lunchu i jednego obiadu rocznie. Fraternalizacja ze studentami (z wyjątkiem, oczywiście, All Souls) w lokalach wspólnego użytku, ale separacja w jadalni: studenci przy „niższym stole” (*low table*), ciało naukowe przy stole na podwyższeniu (*high table*). Wspólne zainteresowanie ogólnouniwersyteckimi wydarzeniami sportowymi, np. wyścigami kajaków na Tamizie, a także aktywnością niezliczonych stowarzyszeń, mających przygotować studentów do przyszłych ról kierowniczych w życiu publicznym. Nade wszystko zaś przenikający całą atmosferę ideał gentlemiana, tj. człowieka niespieszącego się, mającego na wszystko czas, pewnego własnej wartości, a więc gardzącego tytułomanią i niepopisującego się erudycją w przypisach do swych prac. Rozbudowywanie aparatury naukowej uważane było za śmieszny przejaw niemieckiej pedanterii – prawdziwego mistrza poznaje się bowiem po jasności i elegancji stylu. Staranie się o potwierdzenie własnej pozycji przez zdobywanie stopni naukowych to cecha parweniuszy, głównie przybyszy z innych krajów, zmuszonych do uzyskiwania oficjalnego statusu przez angażowanie swych brytyjskich kolegów w żmudne, formalne procedury. Prawdziwie wybitni uczeni nie potrzebują tego: wszyscy i tak wiedzą, kim jest Isaiah Berlin z oksfordzkiego All Souls lub Bertrand Russell z Cambridge, mimo że obaj są tylko magistrami.

Model nauczania w tych warunkach nie mógł polegać na formalnych wykładach w przepelnionych salach, o treści uzgodnionej z ogólnouniwersytecką administracją. Nauczanie odbywało się w kolegiach, często w pokojach przylegających do mieszkania akademickiego opiekuna studenckiej grupy, polegało zaś przede wszystkim na pisaniu esejów na tematy indywidualnie wybrane i omówione z nauczycielem akademickim. Napisanie wyróżniającego się eseju było wydarzeniem, które obie strony – zarówno student, jak i kierujący pracą naukowiec – traktowały jako coś godnego zapamiętania i przypomnienia w odpowiednim czasie. Mój przyjaciel z Pembroke College, politolog i filozof Zbigniew Pełczyński, wybitny znawca filozofii politycznej Hegla, wykształcił w ten sposób wielu wybitnych działaczy, w tym siedmiu ministrów w rządach różnych państw, jednego amerykańskiego senatora oraz prezydenta USA Billa Clintona, który napisał pod jego kierunkiem pracę pt. *Pluralizm polityczny w ZSRR*³. Warto odnotować, że Clinton dobrze to zapamiętał: zaprosił Pełczyńskiego na uroczystą inaugurację swej prezydentury, uczcił jego przyjazd osobnym przyjęciem i omówił studia pod jego kierunkiem w swoich pamiętnikach.

³ Zob. D. McAvoy, *Zbigniew Pelczynski. A Life Remembered*, Guilford, Surrey 2012, s. 123–124.

Dziś wiele się w Oksfordzie zmieniło. Zmiany te, polegające na tak dobrze nam znanych „cięciach budżetowych”, przy jednoczesnych próbach rozciągnięcia nad uniwersytetem biurokratycznej kontroli, wywołały jednak protest środowiska akademickiego, który zaowocował m.in. odmową nadania inicjatorce tych neoliberalnych reform, Margaret Thatcher, tytułu oksfordzkiego doktora *honoris causa*. Nie wiem dokładnie, na czym polega osiągnięty kompromis, Pełczyński zapewnia mnie jednak, że mimo pewnych zmian na niekorzyść, Oksfordowi udało się ocalić jądro swej historycznej tożsamości. W każdym bądź razie pewne jest, że wszystkie uniwersytety brytyjskie uchroniły się przed radykalizmem neoliberalnych przemian, podczas gdy w Polsce, pod rządami minister Barbary Kudryckiej, reformy te przybrały postać radykalną właśnie, niekiedy karykaturalną wręcz w swej skrajności⁴.

Australijski Uniwersytet Narodowy w Canberze

Kolejnym etapem mojej drogi naukowej była 5-letnia praca na samodzielnym stanowisku badawczym w Zakładzie Historii Idei ANU w Canberze (1981–1986). Była to praca wolna od obciążeń dydaktycznych, ponieważ główna część ANU była instytucją wyłącznie badawczą, mającą służyć umacnianiu pozycji Australii w nauce światowej. Do innych osobliwości ANU należało, że był to uniwersytet państwowy, podporządkowany bezpośrednio rządowi federalnemu. Mimo to nie przypominał on modelu znanego mi z krajów najdalej idącego upaństwowienia nauki, czyli ZSRR i innych państw „realnego socjalizmu”. Upraszczając nieco powiedzieć można, że był to teren ścierania się dwóch tendencji: tradycji bezpośredniej zależności od rządu, charakterystycznej dla Australii jako byłego brytyjskiego dominium, z naśladowaniem elitarnych uniwersytetów brytyjskich, kultuwujących ideał niezależności od celów bezpośrednio utylitarnych.

Muszę dodać, że w obszarze moich zainteresowań ANU był uczelnią mającą się czym pochwalić. W Zakładzie Historii Idei pracował światowej sławy historyk filozofii John Passmore, w Departamencie Filozofii rozkwitała filozofia polityki; jeden z jej przedstawicieli, Philip Petit, stawał się głównym w skali światowej teoretykiem „republikanizmu”, co sprawiło, że dziś ANU zdobył jedną z pierwszych pozycji w światowym rankingu filozofii. Mocna była też pozycja sowietologii: reprezentujący ją prof. Harry Rigby był jednym z czołowych historyków i teoretyków radzieckiego ustroju. Prof. Eugene Kamenka,

⁴ Pisałem o tym kilkakrotnie, m.in. w „Gazecie Wyborczej”, *Nieświęty sojusz biurokracji z rynkiem*, 1–2.06.2013; i w „Nauce Polskiej”, *O kryterium międzynarodowej „cytawalności” w humanistyce polskiej i w systemie grantowym*, 2013, t. XXII.

kierujący Zakładem Historii Idei, był zaś znakomitym organizatorem nauki, zapraszającym do Canberra wybitnych filozofów i przedstawicieli nauk politycznych ze wszystkich krajów świata, łącznie z Azją. Stwarzało to doskonałe warunki do interdyscyplinarnej wymiany myśli i skupienia się na pracy.

Atmosfera pracy był jednak daleka od głoszonego dziś w Polsce kultu wydajności. Nadmierną produktywność traktowano jako szkodliwy „stachanowizm”, osoby wiele publikujące łatwo podejrzewane były o powierzchowność lub karierowiczostwo. Dominował brytyjski ideał uczonego gentlemana, mającego codziennie czas na poranną herbatę o godzinie 10–10.30, następnie na wspólny lunch pod palmami i wreszcie na popołudniową herbatę z kolegami o godzinie 16. Należało oczywiście rozmawiać z przedstawicielami różnych dyscyplin i unikać jak ognia podejrzania o „pracoholizm”

Wszystko to zmieniło się jednak po rozwiązaniu ZSRR. Wydarzenie to uznane zostało za koniec ogólnoświatowej debaty ideowej, a więc za dogodny pretekst do skoncentrowania wysiłku badawczego na sprawach ważnych dla Australii z punktu widzenia jej regionalnych interesów. Konsekwencją tego szybko okazała się całkowita likwidacja Zakładu Historii Idei. Było to zwycięstwem biurokracji rządowej, zawsze marzącej o podporządkowaniu ANU bezpośrednio utylitarnym interesom państwa. Ma się rozumieć, walenie przyczyniło się do tego zwycięstwo orientacji neoliberalnej w polityce ogólnokrajowej, a także słabość i bierność środowiska akademickiego.

Uniwersytet Notre Dame

Sytuacja ta stawiała pod znakiem zapytania możliwość uzyskania przeze mnie w ANU stałego stanowiska profesorskiego. Jako autor kilku dobrze przyjętych anglojęzycznych książek (w tym *Historii myśli rosyjskiej od Oświecenia do marksizmu* oraz artykułów o totalitarnych konsekwencjach marksowskiej koncepcji wolności) dysponowałem natomiast ciekawymi ofertami pracy w USA. W końcu 1986 r. przyjąłem jedną z nich, a mianowicie fundowaną profesurę historii idei (*O'Neill Family Chair*) na Wydziale Historii katolickiego Uniwersytetu Notre Dame w Indianie.

Prezydentem tej uczelni, formalnie katolickiej, ale programowo ekumenicznej, był od wielu lat o. Theodore M. Hesburgh, wybitny amerykański działacz oświatowy, wyróżniony najwyższymi odznaczeniami państwowymi za walkę o realizację praw człowieka oraz energiczne alarmowanie opinii publicznej w sprawie groźby katastrofy atomowej. Pragnął on uczynić z Notre Dame „wielki uniwersytet katolicki”, podkreślając jednak, że miało to być właśnie *uniwersytet*, realizujący rdzenną ideę uniwersytetu, a nie placówka o charakterze wyznaniowym. Swoistością Notre Dame miało być także

dostrzeżenie „filozoficznych i teologicznych implikacji wszystkich wielkich kwestii naszych czasów”⁵. W tej perspektywie moje głębokie zaangażowanie w pracę nad intelektualną historią Rosji i rosyjskiego komunizmu jawiło się jako naturalne uzupełnienie edukacyjnej misji Notre Dame, a nie jedynie jako potrzeba dydaktyczna.

Zaproponowane mi warunki pracy były dla mnie bardzo korzystne, miałem bowiem uczyć studentów w zmniejszonym wymiarze godzin i tylko na poziomie magisterskim. W praktyce oznaczało to prowadzenie w każdym semestrze jednego monograficznego kursu dla kilkusobowej grupy *graduate students*, z całkowitą wolnością wyboru tematu kursu, ale bez możliwości rozciągnięcia zajęć na cały rok akademicki. O niedogodnościach tego systemu pisałem obszernie w mojej intelektualnej autobiografii⁶, a więc ograniczę się do powtórzenia, że główną z nich była konieczność skrócenia długości każdego kursu do jednego, 16-tygodniowego semestru, co uniemożliwiało pogłębione przestudiowanie tematu. Nieocenioną zaletą systemu był natomiast brak jakiegokolwiek administracyjnej ingerencji w treść i sposób nauczania, możliwość indywidualnego traktowania każdego studenta oraz duża ilość czasu na spotkania ze studentami w trybie zindywidualizowanych, nieformalnych konsultacji. Każdy student mógł liczyć na zindywidualizowaną listę lektur oraz na przedyskutowanie swego eseju z profesorem – zarówno na zajęciach, jak i po nich, przy opracowywaniu wersji ostatecznej, mającej być podstawą zaliczenia ćwiczeń.

O ile mi wiadomo, taką samą lub podobną metodę nauczania stosowano w Notre Dame na Wydziale Filozofii (którego gwiazdą był czołowy filozof komunitaryzmu Alasdair MacIntyre), Teologii oraz Politologii (*Government*). Historycy i filologowie w większym zakresie oczywiście posługiwali się studiowaniem źródeł i analizą tekstów literackich, socjologowie zaś wykorzystywali rezultaty badań empirycznych. Ale w każdym przypadku (na poziomie postlicencjackim) była to praca w małych grupach, oparta na indywidualnej relacji profesora ze studentem, bardzo często dostosowana do ich indywidualnych zainteresowań i planów badawczych. Było to możliwe, ponieważ liczba studentów na każdym wydziale niewiele przekraczała liczbę profesorów.

Było to ogólną zasadą, przyjętą na każdej wyższej uczelni amerykańskiej chcącej być uniwersytetem, czyli, w odróżnieniu od koledżu, uczelnią prowadzącą studia magisterskie i doktoranckie. Reformatorzy nauki polskiej, którzy wprowadzili u nas studia postlicencjackie, wzorowali się ponoć na uniwersytetach amerykańskich, ale zupełnie zniekształcili tę ideę, wprowadzając *uma-*

⁵ R.P. Schmuhl, *University of Notre Dame. A Contemporary Portrait*, Notre Dame, Ind. 1986, s. 25.

⁶ A. Walicki, *Idee i ludzie. Próba autobiografii*, Instytut Historii Nauki PAN, Warszawa 2010, s. 243–249.

sowione studia magisterskie, niczym nieróżniące się od studiów pierwszego poziomu. Jedną z przyczyn tego umasowienia, całkowicie eliminującego studia zindywidualizowane i elitarne, było założenie że „pieniądze idą za studentem”, co skłoniło polskie uczelnie do zdobywania środków materialnych przez nieograniczone i nieodpowiedzialne zwiększanie liczby studiujących. Jeżeli jednak wzorem miały być uniwersytety amerykańskie, to postępowanie takie było totalnym nieporozumieniem: w USA bowiem studia postlicencjackie (w odróżnieniu od edukacji na poziomie koledżu) są studiami z natury elitarnymi, na których nie zarabia się, lecz do których się sporo dopłaca⁷.

Innym brzemieniem w skutki nieporozumieniem było wprowadzenie w Polsce systemu punktacji, wymuszającego nienaturalne zwiększanie ilości publikacji, ocenianych w dodatku przy pomocy kryteriów czysto ilościowych – „bibliometrycznych”. W Notre Dame system taki nie mógłby zaistnieć, chociaż i tam usilnie starano się o zdobywanie dla uniwersytetu maksymalnej ilości punktów (zwanych „kredytami”). Punkty te zdobywało się jednak za dobre warunki pracy, w tym wysokość uposażeń i stypendiów, za skład osobowy studentów (premiując wielorasowość i maksymalną liczbę studentów płci żeńskiej), a także, rzecz jasna, za zadowolenie studentów z nauczania. W zakresie ściśle naukowym bardzo liczyły się doktoraty oraz wszelkie wyróżnienia przyznawane profesorom przez ważne instytucje krajowe i zagraniczne. „Cytowalność” natomiast słusznie traktowano z przymrużeniem oka, a nadmierna ilość publikacji uważana była (podobnie jak w Australii) za zjawisko podejrzane (sam mógłbym mieć z tym kłopoty, publikowałem bowiem o wiele za dużo, ale ratowała mnie wyróżniona pozycja *chaired professor*). Za normalne dla kariery naukowej uważano (jak wszędzie w USA) opublikowanie w ciągu życia 3 książek: jednej na pozycję *assistant professor*, drugiej na stanowisko *associate professor* i trzeciej dla uzyskania pełnej, dożywotniej profesury. O reputacji naukowej decydowała oczywiście opinia środowiska, nikomu nie przychodziło do głowy przypisywanie wagi zagranicznym rankingom.

I wreszcie, co warto szczególnie podkreślić, mimo znakomitej współpracy uniwersytetu ze środowiskami wielkiego biznesu nie do pomyślenia było zarzucanie uniwersytetowi, że nie dopasowuje wykształcenia do rynku pracy. Na corocznych *graduate ceremonies*, czyli uroczystościach zakończenia studiów pierwszego stopnia, prezes Rady Nadzorczej Uniwersytetu (będący, tak się złożyło, także prezesem korporacji Coca Cola) zapewniał studentów, że nie muszą martwić się brakiem umiejętności praktycznych, nauczyli się bowiem, jak się uczyć, a o całą resztę zadbają korporacyjni pracodawcy. Nie były to

⁷ Należy pamiętać, że w USA studia magisterskie są częścią *graduate studies*, tworząc jedną całość ze studiami doktorskimi, mają więc charakter nie masowy, lecz elitarny.

zapewnienia bez pokrycia. Gdyby było inaczej, rodzice studentów uznaliby, że nie warto płacić za wykształcenie dzieci, i uczelnia przestałaby istnieć.

W połowie lat 90. opisany stan rzeczy zaczął być kwestionowany przez środowiska „nowej prawicy” (w Europie zwanej „neoliberalną”), ośmielone reanimacją wartości starokapitalistycznych po upadku państwowego socjalizmu w ZSRR i krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Dobrze pamiętam przygnębiające wrażenie, jakie wywarł na mnie artykuł Dietera Simona, prezesa Brandenburskiej Akademii Nauk, opublikowany w „Newsletter 57” (marzec–kwiecień 1997) wiedeńskiego Instytutu Wiedzy o Człowieku. Dowodził on, że na uniwersytetach nie ma już miejsca na pracę badawczą „przyjemną, ale niedającą się sprzedać”, że przypisywanie uniwersytetom wzniosłych funkcji ogólnonarodowych jest anachroniczną romantyką, sprzeczną nie tylko z naturą „uniwersytetu masowego”, ale także z interesami profesorów i studentów. Zaś z punktu widzenia państwa, instytucje szkolnictwa wyższego potrzebne są głównie po to, aby odciążać rynek pracy, nowoczesne państwo bowiem od dawna nie jest już *Kulturstaat*.

W Notre Dame, na szczęście dla mnie, poglądy takie torowały sobie drogę bardzo powoli – m.in. dlatego, że nie był to uniwersytet państwowy, ale uczelnia mocno wspierana przez byłych wychowanków, zajmujących wysokie stanowiska w amerykańskim biznesie i odczuwających potrzebę dowartościowania się przez finansowanie kultury. Dzięki temu Uniwersytet Notre Dame, podobnie jak Uniwersytet Oksfordzki, zdołał w dużej mierze oprzeć się niszczącej ofensywie wolnorynkowego fundamentalizmu. Jak wspomniałem, inaczej było, niestety, w przypadku ANU, do czego przyczyniła się siła centralnej biurokracji w postkolonialnym państwie.

Uniwersytety polskie, a zwłaszcza ich wydziały humanistyczne, stoją dziś przed podobnymi problemami. Jak dotąd wydaje się, niestety, że nasi rodzimi reformatorzy nauki, korzystając z odziedziczonego po „realnym socjalizmie” nadmiernego zakresu biurokratycznej władzy, prześcigają się w gorliwym wprowadzaniu w życie nie do końca przemyślanych reform, a środowisko naukowe nie ma ani jasności w tej sprawie, ani odwagi w broniении swych prawomocnych interesów.